Muza czy Meduza. Kartka z moich wspomnień

Jan Chryzostom Zachariasiewicz

Erazm Piltz, Petersburg, 1886

Pobrano z Wikiźródeł dnia 2 listopada 2025

MUZA CZY MEDUZA?

(Kartka z moich wspomnień).

Miałem lat dwadzieścia, gdy przybyłem do Lwowa. W zwykłem życiu jest to wiek młodzieńczy — ja nie byłem już młodzieńcem. Z tych dwudziestu wiosen oddałem już był cztery — według mego mniemania — sprawie publicznej. Cztery lata przesiedziałem w więzieniu na Szpilbergu, w ciężkich żelazach.

Być może, że wrócę kiedyś wspomnieniem do tych lat i tego, co je poprzedziło; tutaj zaznaczę tylko, że te same powody, które mi wówczas ręce skuły, zawiodły mnie na pole literatury.

W samotnej celi więzienia, mając widok świata literalnie deskami zabity, przemyśliwałem nad tem, coby to w konsekwencyi tego, co mnie tu zaprowadziło, dalej na świecie robić. Przyszedłem do przekonania, że najlepszą dla kraju służbą będzie — poświęcić się literaturze.

Pierwsze marzenia o tej służbie kapłańskiej były złote. Podobne były do tych muszek wiośnianych o mieniących się skrzydłach. Rozkoszne rojenia napełniały moje serce, a pierwsze próbki tych rojeń zachwycały mnie. Rozpocząłem śnić na jawie, a sny te były tak słodkie! Powoli przyłączał się do tego urok sławy i czci ludzkiej, nieodłączny cień

wyższych aspiracyj człowieka. Widziałem siebie wyższym i jaśniejszym pośród rzeszy słuchającej — a to upajało mnie, że byłem gotów za te rzesze oddać życie!...

Takim rojeniom sprzyjała cisza więzienia, przerywana tylko brzękiem łańcuchów; potęgował je brak widoku szerszego. Okno mojej celi było albo zabite od dołu deskami, albo opatrzone potrójną kratą, miało wysoki mur przed sobą. Mały tylko płatek nieba jaśniał w górze, a na nim policzyłem już lepiej od astronoma wszystkie gwiazdy.

Od czegoż zaczynać przyszłą służbę literacką, jeśli nie od poezyi? Opowiadał mi Szajnocha, że siedząc w więzieniu, tworzył długie poematy, pisząc pojedyńcze rozdziały szpilką na białej ścianie. Napisane zacierał i znowu pisał.

Ponieważ zaś ryte na wapnie pismo wtedy tylko było czytelne, gdy słońce ukośnie na ścianę świeciło, pisał więc w słońcu. To stało się początkiem późniejszej utraty wzroku.

Inaczej sobie pomogłem. Miałem biblję Wujka. Porozklejałem grube okładki, a zapisawszy je bardzo drobno sokiem z wiśni, zaklejałem brzegi ostrożnie. Święte pismo otoczyłem różnemi poematami i cieszyłem się, że były pod taką opieką.

Opieka jednak ta zaszczytna nie wpłynęła jakoś dobroczynnie na te pierwsze utwory moje. Łaska ziemskich możnowładców wpływała dawniej jakoś lepiej na poezyę Dantego, Anioła i im podobnych. Z moich wierszy i czterej ewangeliści nie mogli wiele zrobić, jak to potem, wyjąwszy je na wolność z ukrycia, sam poznałem.

Nie wiem już dzisiaj, com z niemi zrobił, czy je spaliłem czy podarłem — wiem tylko, że po przeczytaniu, uznałem je sam za bardzo słabe pierwociny mego talentu, który mi w rojeniach moich coś lepszego był obiecał.

Z tą premisą przybyłem był właśnie do Lwowa. Jako małoletniemu prawie zbrodniarzowi, po odbytej karze pozwolono wyjątkowo pójść znowu do szkoły. Stosownie do planu powziętego w więzieniu, nie chciałem ze szkoły korzystać dla chleba; chodziłem na literaturę, estetykę, historyę i wyższą matematykę. Z ostatniej zdałem nawet egzamin, chociaż sam nie wiem, czy do moich przyszłych poematów była ona koniecznie potrzebną.

Czas wolny od wykładów szkolnych przepędzałem na czytaniu w zakładzie Ossolińskich. Marzyłem teraz o napisaniu wielkiego dramatu treści historycznej. Ugrupowanie miałem już w części gotowe — brakło mi tylko treści! Miałem kontusze różnego koloru, karabele i pałasze, głowy podgolone, a nawet śpiewki przy świetle księżyca — nie wiedziałem tylko, kogo w te kontusze ubrać i komu przy księżycu zaśpiewać.

Mimo tak hazardownych rojeń, chodziłem po nad brzegami Pełtwi z głową do góry podniesioną, i byłem pewny, że w tornistrze mam — buławę!

Koledzy moi i przyjaciele, którym coś z tornistry mojej czasem okazałem, wierzyli także wraz ze mną — a świat, słońce i księżyc uśmiechały się dobrodusznie na te wierzenia nasze. Młoda wyobraźnia posuwała jeszcze dalej te wierzenia. Widziałem wieniec laurowy na mojej głowie, taki sam, jaki ma Dante na sztychach; przed tym wieńcem

otwierały się pałace możnych — a w tych pałacach patrzały na mnie ukradkiem błękitne oczy królewien lub im podobnych kobiet, jakie zawsze ma w otoczeniu swojem każdy poeta!

Muza moja szła promienna przedemną. Rzucano nam obojgu kwiaty pod nogi, a z okien uśmiechały się do nas strojne dziewice, otwierając podwoje — serca. Wobec tych kwiatów i spojrzeń byłem bogaczem — bo czemże wobec nich są wszystkie skarby ziemi?...

Służba moja, której się właśnie poświęcić miałem, zapowiadała się bardzo świetnie. Nie przyszło mi jakoś na myśl, że przy takich świetnościach niema mowy o poświęceniach. Cóż zresztą byłem winien, jeżeli los w tej wiernej służbie mojej policzył mnie do wybranych? Wszak służyć państwu można tak samo w skromnym kubraku woźnego, jak i w błyszczącym mundurze hofrata! To tylko szczęście, żem się urodził ze złotym kołnierzem!

Śród takich rojeń zasiadłem pewnego dnia nad starą księgą. Szukałem właśnie jakiego faktu historycznego do mego, zresztą co do przyborów i efektów scenicznych już gotowego dramatu. *Eureka* — znalazłem go!... Było to skąpe w słowach, niejasne wspomnienie o jakimś rokoszu w Karpatach z czasów pierwszych wieków dziejów naszych. Dowódca tego zagadkowego ruchu, chłop Mucha był nawet w Krakowie stracony.

Nad tych kilka słów nic więcej nie znalazłem. Ale od czegoż fantazya poety? Góral Mucha rósł nagle w moich oczach na jakiegoś bohatera, nie wiedziałem tylko w jakie pióra go ubrać. Raz zakrawał mi na Chmielnickiego, to

znowu na Nebabę Goszczyńskiego, a nawet podejrzewałem w nim karmazyna zakapturzonego, który w rzeczypospolitej chciał jakiś nowy, zapewne lepszy porządek zaprowadzić. Słowem bohater był — był kat — trzeba tylko było coś z niego zrobić.

O to wtedy nie było trudno. «Zbójcy» Szyllera zachwycały wszystkich. Gdyby nawet Mucha był trochę lepszym i nieco fantastyczniej ubranym zbójem od tych, jakich na podwórzu lwowskiego kryminału widziałem, nadawał się już wybornie do znakomitego dramatu. Cóż więc innego jest w «Zbójcach» Szyllera?

Ów «Mucha» nie dawał mi spokoju. W nocy spać nie mogłem, a we dnie zaniedbałem nawet południowej przechadzki pod oknami pewnej kamienicy, w której oknie ukazywała mi się codziennie różowa blondynka z noskiem nieco do góry zadartym... zupełnie podobna do uśmiechniętej muzy mojej.

Przyjaciele moi spostrzegli, że coś w głowie mojej się rodzi. Zapytywali mnie z pewną dyskrecyą. Obawiałem się przyznać, żem skarb znalazł, aby który mi go nie wziął.

Wreszcie, nie mogąc sobie z tym skarbem dać rady, postanowiłem zwierzyć się jednemu z moich pokrewnych. Był także poetą, a że poezyi nie pojmował tylko jako sztukę wyzwoloną, dowiódł tego... swoją prawdziwie bohaterską, męczeńską śmiercią![1].

W zaufaniu okazałem mu swój skarb.

— Ten Mucha, zawołał żywo, może być wspaniałym bohaterem. Zazdroszczę ci go. Można z niego zrobić temat okazały!... Tylko...

— Tylko brak mi danych, odpowiedziałem skromnie, brak mi barwy czasu i tła, na którem ten wspaniały dramat ma się rozwinąć.

— Trzeba szukać po kronikach.

— Szukałem!

— Nic niema?

— Nic!

Westchnęliśmy obaj. Mucha groził, że nam ucieknie.

— Zaczekaj, ozwał się przyjaciel, mam na to radę. Bielowski może ci dopomódz. Idź do niego.

— Nie znam go!

— To nic. Powiedz że masz Muchę i nie wiesz, jakiego gatunku ta mucha.

Rada była genjalna, chociaż mógłbym był sam przyjść na tę myśl. Podziękowałem przyjacielowi, prosząc go o zachowanie tajemnicy aż do przyszłego dramatu.

August Bielowski był dla ówczesnej młodzieży pewną postacią legendową. Były to czasy, w których każdy poprzedzający nas pracownik miał u młodzieży cześć i zasłużoną aureolę na głowie. I wtedy nie zgadzała się już młodzież w wielu rzeczach ze swymi poprzednikami na polu literatury i pracy publicznej, miała jednak dla nich głęboki szacunek i uznawała ich zasługi. Zdawało się nam, że tylko taka łączność pojedyńczych ogniw tworzy zdrowy organizm narodu. Gdy przyszedł czas, polemizowaliśmy z poglądami starszych, ale zawsze w granicach czci i poważania położonych ich zasług. Wierzyliśmy, że możemy dalej zajść od nich, ale byliśmy im zawsze wdzięczni za to, że dotąd mozolnie torowali nam drogę.

Tak patrzyła wówczas młodzież na Bielowskiego. Imponował jej całą swoją postacią. Wysoki, sztywny, z twarzą ospowatą, przesuwał się powoli jak cień po ulicy. Był zawsze milczący, a często dawał odpowiedzi niestosowne. Bez ironji twierdziliśmy, że żyje w wiekach przedhistorycznych. Później odbijało się to roztargnienie jego jeszcze więcej. Pamiętam, raz przyszedł do Szajnochów. Było to w lipcu, a skwar prawie nie do wytrzymania. Szajnochowa kazała okna pozamykać, aby się powietrze w pokojach trochę ochłodziło.

— Co za gorąco! — rzecze do gościa. Wytrzymać nie można!

— Zanadto napaliliście w piecach! odparł spokojnie Bielowski. Trzeba okna otworzyć!

Powtarzano i wtedy różne o jego roztargnieniu anegdotki, ale te miały tylko charakteryzować głęboką jego uczoność i nieustanne przesiadywanie w pierwszych wiekach naszych dziejów. Nie ośmieszało to zacnego pracownika, przeciwnie jednało mu sympatyę wszystkich. Żywot jego nosił karby różnych zwrotów, jakie naród przechodził. Żołnierz z roku 1831, więzień stanu później, wreszcie pracownik na polu literatury ojczystej.

Taką zacną a nawet wyższą postacią był Bielowski w oczach naszych. Patrzyliśmy na niego zdala i zdejmowaliśmy czapki, gdy przechodził, chociaż osobiście nie znaliśmy się z nim. Niejeden z nas marzył, że może wyżej stanie, ale każdy oddawał mu cześć, jaka mu się należała. Mógł on nie zbudować żadnej nowej drogi, ale rozbijał mozolnie dla niej pierwsze kamienie.

Pamiętam dobrze, było to późną jesienią. Śnieg z deszczem hulał po ulicach. Ubrałem się w najlepszy surdut, a nawet wziąłem nowe buty bez względu na niepogodę. Zdawało mi się, że Bielowski zasłużył na to, aby stanąć przed nim w całej możliwej paradzie. Co jemu teraz daję, pomyślałem sobie, oddadzą mi później inni.

W uroczystym nastroju przeszedłem kilka ulic i stanąłem wreszcie w zakładzie Ossolińskich, w którym Bielowski był wtedy skryptorem.

W sieni strzepałem starannie śnieg z odzieży i zebrałem w kupę myśli moje. Miałem rozmawiać z człowiekiem, który miał już sławę literacką. Serce uderzyło mi żywiej, gdym wziął za klamkę.

Za chwilę stałem już przed nim.

Z po za stosu foljałów, siedząc w dużem skórzanem krześle, spojrzał na mnie Bielowski. Zimno i sztywnie zapytał:

— Czego pan sobie życzysz?

— Przychodzę prosić o radę w moim literackim zawodzie.

Bielowski zmierzył nieznanego młodzieńca.

— W czemże pan pracujesz?

Zarumieniłem się na to nieprzewidziane pytanie. Zdawało mi się, że powinien był wiedzieć, a przynajmniej odgadnąć, że w tornistrze mam buławę. Ponieważ jednak to nie nastąpiło, musiałem z całą skromnością przyszłego autora powiedzieć mu coś o moich chęciach stworzenia wielkiego historycznego dramatu, do którego właśnie potrzebnych szczegółów szukam.

— Piszesz pan dramat historyczny? — rzekł do mnie z zimną powagą, a małe oczki jego uśmiechnęły się z pewnem niedowierzaniem.

— Tak jest — odpowiedziałem z butą.

Bielowski patrzył na mnie czas niejaki, a ospowata i zimna twarz jego złożyła się do sympatycznego uśmiechu.

— Ha, od czegoś trzeba zacząć! — rzekł z uśmiechem.

Uczułem, że mi znowu do twarzy krew uderzyła. Słowa Bielowskiego przypomniały mi Szczęsnego Potockiego i jego odpowiedź, jaką dał pani Kossakowskiej. Gdy znana z ostrego języka starościna na pokojach królewskich Szczęsnego Potockiego, który miał wtedy lat dziewiętnaście, w mundurze pułkownika ujrzała, zapytała go ze zdziwieniem:

— Jakto? waszmość w mundurze pułkownika?

Szczęsny zmieszał się... swoją tak małą rangą.

— Przecież trzeba od czegoś zacząć! — odpowiedział wstydliwie.

Ta była tylko między mną a Potockim różnica, że te słowa zamiast mnie, wyrzekł Bielowski. Tem większy powód do zarumienienia. Darowałem mu jednak ten pocisk filigranowy, bo przecież nie wiedział, co mam ze sobą w tornistrze.

Nastąpiła poufniejsza rozmowa. Opowiedziałem mu, co w kronice znalazłem i prosiłem o wskazanie dalszych źródeł, z którychbym mógł się więcej dowiedzieć.

Gdym wyrzekł nazwisko «Muchy», zdawało mi się, że Bielowski znowu jakiś żart miał w zanadrzu, bo długim palcem swoim zaczął suwać po nosie, jakby tam na muchy

polował. Przekonałem się jednak potem, że niesłusznie zacnego historyka o to posądzałem. Miał on bowiem zwyczaj przy każdej ważniejszej myśli wykonywać ten odruch mimowolny. Jakoż zaraz uprzejmie powiedział mi, że o «Musze» wie tylko tyle, co i ja, ale wskaże mi człowieka, który mi wszystkich potrzebnych w tym względzie wyjaśnień dostarczy.

— Jest to mój przyjaciel — dodał — który często dopomaga mi w pracach moich i więcej z owych czasów ma w swojej głowie, niżeli się zawiera w tych foljałach.

Wziął zrzynek papieru i napisał na nim kilka wierszy. Podając mi go, rzekł do mnie:

— Pójdziesz pan do ogrodu zakładu, tam na prawo będzie osobny pawilonik, w którym mieszka Jan Wagilewicz.

I zwrócił się do swoich foljałów, nie zapytawszy mnie nawet, jak się nazywam. Darowałem mu to roztargnienie, bo przecież nie wiedział, co ukrywam za sobą.

Z zygzakowatym zrzynkiem papieru w ręku wyszedłem na korytarz. Ponieważ list był otwarty, przeczytałem następujące słowa: «Kochany Janie! Bądź tak dobry udzielić oddawcy tej kartki potrzebnych wyjaśnień».

Wyszedłszy z sieni, zatrzymałem się na progu. Pomyślałem sobie, że może stoję na zwrocie mego życia. Obaczę Jana Wagilewicza, przyjaciela Bielowskiego, w rękach którego jest los «Muchy» i mego przyszłego dramatu!

Jan Wagilewicz znany był wtedy jako biegły znawca wieków przedhistorycznych, należących jeszcze do

słowian. Potrącał w pismach różne zagadnienia archeologiczne i pisywał udatne poezye. Wypracował gramatykę języka małoruskiego.

W owych czasach było tego dosyć, aby go w oczach własnych otoczyć pewną aureolą. Nikt wtedy nie chciał, a nawet nie odważył się być literatem. Pisać i drukować po polsku — kwalifikowało do czarnej księgi.

Miałem się więc zbliżyć do człowieka wyższej miary. Mieszkał w osobnym pawilonie — nic dziwnego — to mu się należało. Każda wyższa zasługa powinna znaleźć nagrodę w społeczeństwie. A czemże więcej może społeczeństwo nagrodzić zacnego pracownika, jeśli nie tem wszystkiem, co nietylko uwalnia od trosk życiowych, ale otacza wybrańca pewną, bogatszą w światłości życia atmosferą?...

Zapiąłem starannie mój paradny surdut i włożyłem na ręce jasno-czekoladowe rękawiczki, które w ferworze opowiadania o «Musze» byłem zdjął u Bielowskiego.

Ze skupieniem ducha powiodłem okiem po ogrodzie czy raczej podwórzu zakładu, szukając owego osobnego pawilonu, w którym ma mieszkać uczony — poeta...

Pawilonu nigdzie nie było. Śnieg miękki przypruszył ścieżki i zatarł wszystkie ślady nóg ludzkich. Biała pustynia była przedemną. Okrążyłem zakład i wyszedłem na drugą stronę. Nigdzie ani śladu mieszkania ludzkiego.

Cóż to jest? — pomyślałem sobie — czy Bielowski zażartował ze mnie, czy muza moja olśniła mnie wraz z bohaterem Muchą, że pawilonu Wagilewicza nie widzę?...

Nadszedł jakiś stróż bosy i z zimna skurczony. Niósł

konewkę wody.

— Przyjacielu — zawołałem — gdzie tu mieszka pan Wagilewicz?

— Niech pan za mną idzie — odpowiedział — właśnie niosę mu wodę!

Nić Aryadny niebardzo mnie ucieszyła. Jakieś niedobre przeczucie ogarnęło mnie. Ów famulus człowieka wyższej miary wydawał mi się samozwańcem.

— Pokaż mi tylko pawilon, a sam pójdę — rzekłem zaniepokojony.

— Ot widać na lewo!

Obaczyłem domek czy raczej ruderę parterową. Na ścianach grzybem porosłych, od czasów Krzywoustego nie było już wapna. Mchem okryte dachówki ruszały się przy wietrze listopadowym jak klawisze, a nawet wydawały dźwięki podobne do dźwięków klawicymbału... Okna wysokie, zakratowane, odbijały jakieś kolory tęczowe, przebijając się mozolnie przez grube warstwy pajęczyny.

— Jakto — zapytałem siebie — toż to ma być pawilon, w którym mieszka uczony i poeta? Czy w takim pałacu przebywa owa muza promienna, którą dotąd z czarownym uśmiechem widziałem przed sobą?

Na oddrzwiach bez drzwi obaczyłem zawieszony krzyż prawosławny.

— Przecież to jakaś cerkiew — ozwałem się do famulusa.

— Tak... to popi najęli niedawno na kaplicę.

— I tu Wagilewicz mieszka?

— Ten pan z bibljoteki ma osobną stancyę.

Otworzyłem spróchniałe drzwi.

Jakiż widok miałem teraz przed sobą?

Była to niegdyś kuchnia. Przy progu stało jeszcze ognisko, ale były to tylko cegły opalone; bezładnie porozwalane kupy gruzu i śmiecia leżały po kątach. Przez brudne, zmatowane okno przedzierało się półświatło. Ściany poobdzierane tu i owdzie świeciły czerwoną cegłą. Z powały spuszczały się jakieś fantastyczne stalaktyty, materyału których nie można było odgadnąć. Pod nogami nie było podłogi, tylko ślady ceglanej posadzki, która częścią pozapadała się, a częścią ulotniła. Pod zieloną od wilgoci ścianą stał tapczan, prostym kocem nakryty. O ten tapczan opierał się jeden koniec długiej, nieheblowanej deski, a drugi spoczywał na cegłach, wyjętych z rozwalonej kuchni. Na tej desce leżały stare, spłowiałe książki i całe stosy siwego, drobnym maczkiem zapisanego papieru.

Do tej deski przypierał mały, z białego drzewa stół o trzech nogach; po przed nim, na stołku wyrobu jednego z czeladzi Piasta, siedział blady, nizkiego wzrostu mężczyzna, o twarzy gładko ogolonej. Miał na sobie szlafrok watowany, niegdyś jakąś materyą bawełnianą kryty. Dzisiaj znikło pokrycie, została tylko wata, szarą nicią przytrzymana.

Nie umiem już dzisiaj opisać wrażenia, jakie na mnie sprawił ten osobny pawilon uczonego i poety. Grom niespodziany padł na moje rojenia młodociane. Muza, która mnie dotąd prowadziła w snach moich przez łąki kwieciste, znikła mi nagle z przed oczu, a ta, którą teraz ujrzałem, była podobną do strasznej Meduzy!... Zdawało mi się, że jej

włosy wężowe owijają się zwolna wkoło mojej piersi, jak węże Laokoona!... Czułem jak jad zabójczy sięgał już do mego serca, które niedawno tak rozkosznie śniło o sławie i o świetlanych jej horyzontach!...

Blady z zimna Wagilewicz zwrócił na mnie swoje wyraziste, ciemne oczy. Smutny uśmiech przeleciał po jego sympatycznej twarzy.

Zacząłem się jąkać. Bohater Mucha znikał powoli odemnie, a na jego miejsce stawał inny. Był nim Wagilewicz.

Wiele ciekawych wyjaśnień co do pierwszego dał mi Wagilewicz. Nie słuchałem go wcale. On sam pozował mi w tej chwili...

Po cóż — myślałem sobie — z zamierzchłych wieków wydobywać niepewnego bohatera, jeżeli tu przedemną stał bohater prawdziwy naszych czasów? Czyż postać człowieka szlachetnych aspiracyj, łamiącego się ze straszną troską życia, a mimo to nie upadającego pod tem brzemieniem, nie jest godną aureoli pierwszego bohatera? Cóż mogą dać lepszego wieki zamierzchłe?...

Smutny, przybity wyszedłem z pawilonu poety i uczonego. «Muchy» już nie było przy mnie; blady uczony i poeta szedł obok mnie. Pierzaste płaty śniegu stroiły go w jakieś szaty fantastyczne, podobne do szat, w jakich stoją posągi — na cmentarzach!...

Miałżem iść w jego ślady?

Kilka nocy nie spałem.

Po krótkim, rozkosznym śnie, wróciły dawne poważne myśli, któremi karmiłem się w więzieniu. Tym myślom,

owym pragnieniom twardej dla kraju służby śród poświęceń i wielorakiej abnegacyi trzeba było wiernym pozostać.

Postanowiłem wytrwać na drodze raz obranej, mimo że Muza moja często stawała się teraz podobną do Meduzy...

Historycznego dramatu o «Musze» nie napisałem, ale za to, po krótkich próbach autorskich, napisałem powieść «Uczony».

Jan Zacharyasiewicz.

1. ↑ Napisałem później o nim obrazek pod tytułem: «M. S.» czyli «ustęp z życia mało znanych ludzi».

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Jan Chryzostom Zachariasiewicz.*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: Muza czy Meduza. Kartka z moich wspomnień

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 4.0[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Wieralee
- Alenutka
- Seboloidus
- Rocket000
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR

---

1. ↑ https://pl.wikisource.org
2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/
3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki

4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium